

Takie piękne życie. Portret Wojciecha Kilara.



Wojciech Kilar, fot. Andrzej Grygiel, PAP.

Barbara Gruszka-Zych

Fragment książki „Takie piękne życie. Portret Wojciecha Kilara” Wyd. Niecałe 2015.

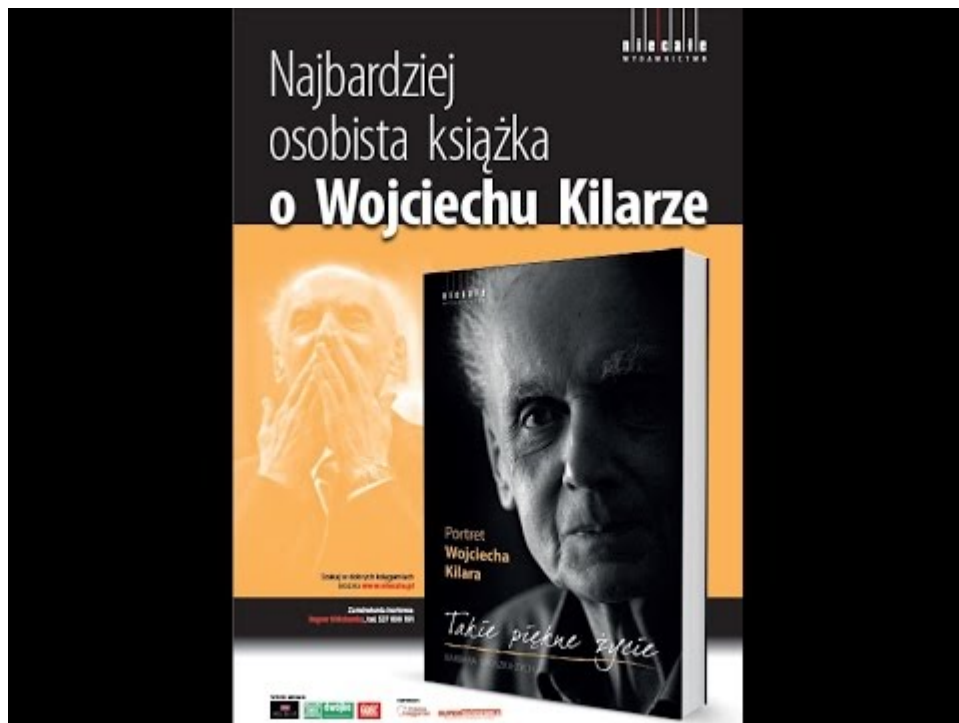
Czy ty nigdy nie tęskniłeś za miłością? - pyta Wiktora, bohatera „Pani z Wilka” Jarosława Iwaszkiewicza, jego doświadczony przez życie wujek.

Wojciech Kilar nie musiał tęsknić za miłością. On ją miał. Kiedy przez sześć kolejnych Wigilii po śmierci ukochanej żony Barbary dzwoniłam do niego z życzeniami, odbierał telefon, witając mnie wcale nie smutnym głosem. Na koniec

pytałam: - Jest pan w domu sam? Ale nauczona jego wcześniejszymi odpowiedziami, natychmiast się poprawiałam: „To znaczy, z żoną” . - Tak, z żoną - słyszałam, jak uśmiechał się do słuchawki i już wiedziałam, że był gdzieś na swoim Mont Blanc, skąd lepiej widać tych, którzy już odeszli. W minionym roku wjechałam kolejką pierwszy raz w życiu na Aiguille du Midi, szczyt położony tuż pod Mont Blanc, i stąd się wzięło to porównanie. Tam, na wysokościach, słychać było, jak młyny czasu skrupulatnie mielą każdą sekundę, strząsając okruchy w dół. Octavio Paz w książce *Podwójny płomień. Miłość i erotyzm* napisał: „Każda miłość jest nieszczęśliwa, bo jej tworzywem jest czas, który upływa”. Ale też dopowiedział krzepiąco: „Miłość jest intensywnością i dlatego rozciąga czas: wydłuża minuty w stulecia”.

Miłość Wojciecha Kilara do ukochanej Basi trwała już w tym rozciągniętym w nieskończoność czasie wiecznym, zawieszonym ponad szczytami doczesnych miłości.

- Od czasu jej śmierci najchętniej siedzę w domu - powiedział mi. - Idę spać o trzeciej, czwartej rano, wstaję dopiero o jedenastej. Chyba że muszę załatwić coś ważnego. Tu wszystko jest takie jak za jej życia, tu jest wręcz dotykalna. Podpowiada mi nawet poprzez znaki. Nie jakieś mistyczne, ale takie dorady „z góry”, co mam na przykład w danej chwili zrobić. Kiedy mam problemy z rozwiązaniem w jakiejś powstającej kompozycji, a żona mi się przyśni, rano odnajduję właściwy trop. Wielu ma podobne doświadczenia ze swoimi zmarłymi. Wiem, że pracy twórczej oczekuje ode mnie również teraz, często z nią rozmawiam, odwiedzam jej grób - zwyczajnie wierzę w świętych obcowanie.



Wojtek żył dzięki Basi.

Kiedy Kilar za dużo pił, sama przestała całkowicie używać alkoholu. Za najcenniejszy przedmiot w domu Wojciech Kilar uważał stare sito. Wygięte, z popękanego plastiku. Traktował je jak relikwię, bo pamiętało dotknięcie rąk ukochanej Basi. Ich miłość przetrwała burzliwe okresy w życiu kompozytora, jego pijaństwo, wyjazdy do Ameryki. I ciężką chorobę żony, gdy z pięknej kobiety zmieniała się w staruszkę.

Nawet, a może zwłaszcza wtedy, gdy pani Basia poruszała się na wózku, rzucało się w oczy niesamowite oddanie małżonków. Starali się bez powodu nie oddalać od siebie ani na chwilę. Wydaje się, że pan Wojciech mógłby wtedy powtórzyć za starym Miguelem de Unamuno przejmujące słowa o ukochanej: „Nie czuję już nic, gdy dotykam nóg mojej żony, ale kiedy ją te nogi bolą, bolą mnie też moje”. *

- Widzę, jacy nieszczęśliwi są ludzie pozbawieni miłości - powiedział mi kiedyś. - Nawet nie wiedzą, co tracą. Miłość to największy dar, a gdy się kocha, to też się cierpi. Miłość do mojej żony to największa łaska, jaką dostałem od Boga.

Razem z tą łaską przyjmował na siebie ciężar jej bólów, chorób, cierpienia, które niesione przez ich dwoje, wydawało się odrobinę mniejsze. Ona jak mogła pomagała mu funkcjonować społecznie. Pod koniec życia neuropatia nie pozwalała jej nawet

podnieść słuchawki telefonu. Ale wcześniej przez lata ciepłym głosem witała w imieniu męża dzwoniących i zwykle znajdowała czas na krótką rozmowę. Na przykład któregoś dnia wyjaśniła mi, że pana Wojciecha dopadły związane ze zmianą pogody zawroty głowy i odpoczywa w łóżku, ale radziła, żebym zatelefonowała nazajutrz.



Wojciech Kilar z żoną Basią (po prawej) i autorką Barbarą Gruszką-Zych, fot. arch. BGZ.

Lubili trzymać się za ręce

- Oni nie mogli bez siebie żyć - mówi doktor Jacek Bera. - Wojtek starał się robić wszystko, co było najlepsze dla Basi. Kiedyś przyszliśmy do niej na urodziny. Na stole leżał talerz z pokrojonym w kostkę chlebem ułożonym przez Wojtka w kształt serca. Jej już było trudno gryźć i w ten sposób chciał ułatwić jej posiłek. Ich życie składało

się z takich drobnych gestów czułości.

Pod koniec naszego pierwszego spotkania w ich domu poprosiłam o wspólne zdjęcie z kompozytorem. Zgodził się na jedno, na którym stoimy obok siebie, ale do kolejnego zaprosił żonę. Nie chciał być na nim sam, przywołał ją z drugiego pokoju, ubraną w błękitną sukienkę. Kiedy oglądam tę fotografię, wydaje mi się, że wyraża jego stosunek do ukochanej. Pan Wojciech stoi w pewnej odległości ode mnie, za to lekko przytulony do żony i delikatnie trzyma jej dłoń, jakby wyszli na pierwszy wspólny spacer. Widać, że wie, jakie cenne jest świętowanie miłości każdym gestem. To, że lubili trzymać się za ręce, można dostrzec też na innych fotografiach. Ani przez moment nie chcieli zapominać, że ich uczucie stale musi być młode. To ona, trzymając go za rękę, wiodła go przez zakręty życia, wyprowadzając na prostą.

Pan Wojciech, opowiadając mi o filmach, które go poraziły wyłącznie obrazem, wymienił na pierwszym miejscu „Lawrence’a z Arabii” Davida Leana: – Jest tam niesamowity fragment, kiedy kamera na długo zatrzymuje się na widoku pustyni, a dopiero potem, gdzieś na horyzoncie, pojawia się mały punkcik, postać, która zbliża się, rośnie.

Kiedy stwierdziłam, że ta osoba, która z każdym dniem staje się bliższa może być metaforą jego żony, potwierdził: – Doceniałem ją za życia, ale jeszcze bardziej z dzisiejszej perspektywy.

Nasza miłość była jak skała

Poznali się w 1954 w Katowicach. Basia, urodzona w Warszawie, mieszkała w stolicy Górnego Śląska z mamą, dziadkami i jedną z sióstr. Ojca straciła w Oświęcimiu, kiedy jeszcze była małą dziewczynką.

– Gdy się spotkaliśmy, miałem 22 lata, byłem już na roku dyplomowym Akademii Muzycznej, a ona miała 18 lat i była w klasie maturalnej – opowiadał. – To był natychmiastowy piorun, który trafił Michaela Corleone w „Ojcu chrzestnym” Coppoli. Mignęła mi gdzieś na schodach dzisiejszej Akademii Muzycznej w Katowicach [wtedy na parterze budynku mieściło się Liceum Muzyczne, a na piętrze – Akademia – przyp. autorki]. Przydarzyło mi się to nie jak jemu, wśród spalonych upałem sycylijskich pól, tylko na zakręcie szkolnych schodów. Tak sobie czasem

myślę, że te kilka sekund lub minut nadało bieg mojemu życiu, które mogłoby potoczyć się w zupełnie innym kierunku, gdybym poznał osobę o innych poglądach na świat. Gdybym wtedy tam nie przechodził, może Basia nigdy by mi nie wpadła w oko. Już w pierwszej chwili poczułem, że jesteśmy stworzeni dla siebie, jak się to banalnie mówi.

Potem - ale to są sprawy bardzo osobiste - jeszcze przez jakiś czas nie byliśmy razem. Zdarzały nam się chwile trudne przed naszym późnym ślubem, bo byłem już wtedy w wieku Chrystusowym. Nasz związek, perspektywa, że będziemy razem, nie była pewna. Sporo się wtedy wycierpiałem. Ale jestem Bogu za te ciężkie momenty wdzięczny, bo dzięki nim potem układało nam się tylko lepiej. Może przez te doświadczenia w następnych latach nasza miłość była jak skała. W młodości miałem okres zabawowy - w Paryżu i po powrocie z niego. Ale to tak miało być, bo dzięki temu poznałem dwie różne odsłony życia. Za nic nigdy nie złożyłem Bogu, tylko starałem się zrozumieć Jego logikę.

Znali się dwanaście lat, zanim w kwietniu 1966 wzięli ślub w katedrze pw. Chrystusa Króla w Katowicach. Z tego dnia, oprócz radości, że przed Bogiem przysięgli sobie miłość, wierność i uczciwość małżeńską, zostało mu wspomnienie ostatniego spotkania z ważnym dla nich obojga dziadkiem żony, Andrzejem Bajdą, który był też dziadkiem aktora Bogumiła Kobieli i ważną postacią powojennych Katowic. W rodzinie nazywano go „dziadeczkiem”, a jego portret wisi na ścianie domu w Tenczynku. - Miał wówczas 92 lata - wspominał - i leżał chory w szpitalu. Zaraz po ceremonii ślubnej pojechaliśmy go odwiedzić. Pamiętam, że uścisnął mnie szczególnie mocno, moją Basię również, ale mnie jakoś tak w pierwszej kolejności. Bardzo się cieszył z naszego ślubu. Wygląda na to, że na nas czekał, bo gdy wróciliśmy do gości, dotarła do nas wiadomość, że kilka minut później zmarł.



Wojciech Kilar i Barbara Gruszka-Zych, fot. ach. BGZ.

Bez przerwy do niej telefonował

W wywiadzie do gazety parafialnej „U Jezusa i Maryi”, który przeprowadziła z nim Krystyna Kajdan, jego współparafianka, dyrektorka Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum”, opowiadał: – Byliśmy dojrzałymi, by podjąć wspólne życie, które przez ponad czterdzieści lat było bardzo szczęśliwe, bez najmniejszych konfliktów; można powiedzieć, że było pełne cudownych dni, przeżytych w ogromnej jedności. Moją żonę cechowała wzruszająca ufność i całkowity brak podejrzliwości.

Tworzyli tak zgraną parę, że nikogo z bliskich nie zdziwiło, kiedy trzynastę lat przed śmiercią pana Wojciecha obydwójce małżonkowie stracili słuch w tym samym, lewym uchu. Obserwując ich, każdy był pewien, że rozumieją się bez słów.

Kiedy jeszcze była zdrowa, jeździli zwykle razem, ale w dłuższe podróże, do Ameryki czy Australii, wybierał się sam. Wtedy nie można się było dodzwonić do jego żony, ani na komórkę, ani na telefon stacjonarny, bo bez przerwy do niej telefonował,

informując o każdym kroku. W tamtych czasach koszty rozmów z zagranicy były duże. Musieli sobie opowiadać, co im się wydarzyło i pewnie radzić się siebie. Choć on chlubił się tym, że Basia go nie pouczała, nie ustawiała życiowo. – Nie strofowała mnie, nie prawila morałów, ani razu mnie nie napomniała – opisywał żonę. – Nigdy na nic nie zwracała mi uwagi, nie mówiła „nie rób tego, czy tamtego”, tylko dawała własny przykład. A to jest najskuteczniejsze. To był jeden z najbardziej wyrazistych przykładów – świadectwo jej życia. Widziałem, jak żyje, i nie mogłem wobec tego pozostać obojętny. Kiedy za dużo pił, sama przestała całkowicie używać alkoholu. – Gdy widziała, że wolę zaglądać do kościoła, kiedy nie było tam ludzi, bo wtedy lepiej udawało mi się skupić, jeszcze gorliwiej chodziła na Msze św. i modliła się w mojej intencji – mówił mi. – Tak jak wszystkie najcenniejsze łaski Boże przychodzą do nas przez kobiety, tak i te przyszły do mnie przez moją Basię.

– Swoją codzienną postawą i przykładem takiej wprost promieniującej świętości – nie boję się użyć tego słowa – nawracała wszystkich wokół, ale przede wszystkim mnie – opowiadał Krystynie Kajdan. – Zawsze byłem człowiekiem wierzącym, lecz przez wiele lat byłem „katolikiem, ale...”. Szczęśliwie zostałem obdarzony jednym z darów Ducha Świętego, a mianowicie bojaźnią Bożą. Zawsze czułem, że Ktoś na mnie patrzy i bałem się tego Oka, natomiast moja wiara była bardziej kontemplacyjna. Słodczyz płynącą ze wspólnoty i dyscypliny, jeśli chodzi o sakramenty, zawdzięczam właśnie żonie, która sama chodziła na niedzielne Msze św. i obserwowała ten mój „katolicyzm, ale...”. Później uczestniczyliśmy już w nich razem i to było cudowne.

Najważniejsza jest miłość do żony

– Basia była szyją związku i umiejętnie potrafiła kręcić głową męża – uważa doktor Jacek Bera.

– Wojtek żył dzięki Basi – mówi Elżbieta Grocholska-Zanussi. – Na początku mieli trudne przejścia z powodu jego picia, ale ona odtworzyła w nim człowieka. Ze swoją łagodnością, wyrozumiałością była dla niego życiowym zabezpieczeniem. Kiedy został abstynentem, lubili siedzieć razem w domu, żeby, wychodząc na imprezy, gdzie lała się wódka, nie kusić licha. Z czasem było im tak ze sobą dobrze, że reszta świata mogłaby nie istnieć.

– Zapamiętałam ich jako piękną, zakochaną parę, która na szarej ulicy Warszawskiej

w Katowicach wyglądała nieziemsko - opowiada Anna Sekudewicz-Rączaszek. - To był początek lat sześćdziesiątych. Ona, wysoka, szczupła brunetka o zielonych oczach, w rockandrollowej spódnicy w kolorowe paski i modnym wtedy obcisłym sweterku, on wysoki, szczupły, elegancki. Do dziś widzę, jak idą ulicą Warszawską, trzymając się za ręce, jakby zjawili się tu z innego, lepszego świata.

Żona pana Wojciecha uczyła mojego brata Witka gry na fortepianie w Ognisku Muzycznym im. Siliwskiego. Ja chodziłam tam na zajęcia taneczne. Poznałam kompozytora już wcześniej, przez moją mamę Barbarę. W Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach była asystentką prof. Markiewiczówny, która uczyła też pana Wojciecha. Jako mała dziewczynka często spotykałam go na koncertach. Kiedy przyjeżdżał swoim renault, żeby po zajęciach odebrać żonę, mój brat biegł i przyklejał nos do szyby jego samochodu, który był wyjątkowy, bo zagraniczny. Wyglądali na bardzo dobre małżeństwo, a po latach, kiedy odwiedzałam ich przy okazji nagrań do swojej audycji, to się potwierdziło. Kiedyś zapytałam pana Wojciecha, co jest dla niego w życiu najważniejsze, uśmiechnął się i odpowiedział pytaniem: „Pani myśli, że moja muzyka? Nie, najważniejsza jest miłość do żony”.



Wojciech Kilar i Barbara Gruszka-Zych, fot. ach. BGZ.

Barbara Gruszka-Zych

Wojciechowi Kilarowi (fragmenty)

„Życie jest bowiem czymś więcej niż pokarm, a ciało niż odzienie” św. Łukasz 23, 12

śmierć odjechany kawałek

nie do zagwizdania

to ona gwiżdże nam na nosie

teraz wynosi się nad życie

zamiast klucza do drzwi

czarny klucz wiolinowy

wynoście się krzyczy wszystko

co nas tu zatrzymuje

i wynoszą z nas jeszcze jeden ocalony dzień

zwykle w markowej koszuli Hugo Bossa

teraz w marki ziemia

na tej najniższej półce

czeka na nas czarna

zawsze gotowa do przebrania

teraz tylko zdjęcia rentgenowskie

i te z wakacji pamiętają ciało

niosą tę pamięć

na swoich zimnych plecach

jak trumnę

*nie wiem gdzie jest ta głowa
na której żaden włos już nie liczony
włosy kto je głaska przed spaleniem
czerwone palce płomieni przeczesują ciało*

*w wielkim domu patrzył przez video-domofon na ulicę
teraz ulica patrzy że nie ma jednego pana
nie czuje jego zapachu nie słyszy skrzypienia butów
z nosem przy chodniku tropi jego ślady tak jak opuszczona
muzyka szuka swojego pana a tu pan u Pana*

*nie widziałam jaka muzyka za nim stoi
tak dobrze się chowała kiedy otwierał drzwi
schylał głowę nad moją białą dłońią
pomagał zawiesić płaszcz teraz zawiesili nekrolog
na wejściowej furtce schylam przed nim głowę*

*wcisnął się jak czarnoksiężnik do urny
dobry żart
jak można się tak skurczyć*

*z przystojnego mężczyzny w kilka garści prochu
trzeba wziąć się w garść myślą idący w kondukcje*

wie pani wie pani

proszę pana nic nie wiem

o pana śmierci

nie znam jej nawet z rozmowy

dopuszcza do niej tylko jednego

Fortepian i pióro



Nohant

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Kiedy w połowie lat 90. zostałam polskim rzecznikiem prasowym Festiwalu Chopinowskiego w Nohant, nigdy nie przypuszczałam, jak długą i wielką przygodą będzie dla mnie spotkanie z Fryderykiem Chopinem i George Sand.

Było ciepłe lato. Całe Berry zakwitło łąkami na pagórkowatym terenie. Co jakiś czas widok przecinał strumień, a przy nim młyn, otoczony gęstwiną dzikiej winorośli pnącej się po kamiennym murze, z kołem młyńskim wtórującym do taktu spadającej wodzie. Staw lub jezioro dodawało błękitu zielono-żółto-czerwonej paletce krajobrazu. Maleńkie domki, z malowniczymi okiennicami i dachówkami otoczone gęstwiną zieleni w małych osadach, stanowiły stały element okolicy, na równi z gęsto usianymi całkiem dobrze do tej pory prosperującymi średniowiecznymi zamczyskami.

Zamieszkałam w typowym dla Berry malowniczym domu z klimatem i atmosferą

przekazywaną z pokolenia na pokolenie u bardzo serdecznej francuskiej rodziny. Codziennie rano dostawałam na śniadanie świeże bułeczki „a la George Sand” i codziennie dawano mi do zrozumienia, że jako rodaczka Chopina, jestem wyjątkowym gościem. Posiadłość George Sand to mała osada, o specyficznym charakterze. Wiejski dwór w stylu Ludwika XV otoczony dzikim parkiem był zaniedbany. Mimo, że udostępniony dla zwiedzających i wpisany do rejestru zabytków państwowych, a tym samym otoczony opieką państwa, nie miał wówczas charakteru muzeum. Przypominał raczej dom w nieładzie, który po jakiejś „burzy” w pośpiechu opuścili mieszkańcy, zabierając tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Mimo to, gdzieś w ścianach i sprzętach zatrzymała się ciepła atmosfera azylu i wspomnienie szczęśliwych chwil oraz ślady po licznych spotkaniach i częstych wizytach nieprzeciętnych gości.

George Sand urodziła się w Paryżu 1 lipca 1804 roku, a więc 6 lat przed Chopinem, jako Aurora, córka oficera napoleońskiego Dupin’a. Zginął on, gdy Aurora miała 4 lata, spadł z konia nieopodal własnego domu. Ze strony ojca była prawnuczką marszałka francuskiego Maurycego Saskiego, syna Augusta II Mocnego, króla Polski. Ze strony matki natomiast daleką kuzynką Ludwika XVI. Matka, dziecko mezaliansu, nie kontynuowała królewskich tradycji. Jako córka sprzedawcy ptaków na nadbrzeżu Sekwany w Paryżu została podrzędną aktorką. Gdy urodziła Aurorę miała już córkę z poprzedniego związku. Aurora Dupin (późniejsza George Sand) wychowywała się w klasztorze, a potem w domu babki ze strony ojca, w atmosferze niczym nie krępującej, pozbawionej konwenansów swobody. W wieku 16 lat na mocy testamentu babki została właścicielką posiadłości wiejskiej w Nohant i spadkobierczynią pokaźnej sumy w gotówce. Stała się więc bogata, co dało jej pewną niezależność i poczucie samodecydowania o sobie. W wieku 18 lat była już żoną barona Dudevanta z Gaskonii, człowieka młodego i wykształconego, ale ponoć straszego utracjusza i na dodatek pozbawionego przez macochę majątku po ojcu. Małżeństwo od początku było niedobre tak pod względem fizycznym, jak i duchowym, czy intelektualnym. Mąż z oficera wkrótce przemienił się w wiejskiego hulakę. Codziennie się upijał, wyjeżdżał gdzieś bez słowa, sypiał ze służącymi, drzemał nad książką i nie znosił muzyki. Młoda baronowa szukała więc spełnienia emocjonalnego i duchowego poza domem, nagle gdzieś wyjeżdżała nie mówiąc nic nikomu i włóczyła się konno bez

celu po okolicy. Dzieci baronostwa, Maurycy i Solange od początku pozbawione były uczuć, wychowywane przez służbę tworzyły w swojej wyobraźni mit, który dawał im upragnioną miłość i poczucie bezpieczeństwa. Taka sytuacja trwała 8 lat, kiedy to Aurora po kolejnej awanturze z mężem oznajmiła, że wyjeżdża do Paryża. Matka namawiała ją przed ślubem na spisanie intercyzy, lecz ona uważając się za niezależną nie chciała o tym słuchać. A szkoda. Ówczesne prawo dyskryminowało kobietę, przewidywało karę więzienia dla wiarołomnej żony, a majątek w całości przypadł jej mężowi. To prawo bardzo bulwersowało przyszłą pisarkę i stąd późniejsza maniera i przyjmowanie męskiego image'u, zarówno w wyglądzie zewnętrznym, jak i poprzez przybranie męskiego imienia i nazwiska, jako pseudonimu autorskiego. Dzięki silnej osobowości doprowadziła jednak do rozwodu na jej warunkach i zatrzymała Nohant. Całe życie poszukiwała miłości i wrażeń. O licznych nieformalnych związkach zarówno ze znanymi postaciami paryskiej cyganerii, artystami, ludźmi utytułowanymi, jak i mniej znanymi, np. z lekarzem domowym czy nieśmiałym studentem prawa, było w Paryżu bardzo głośno, dzięki czemu George Sand skupiała na sobie uwagę.

Pokoje w Nohant jest dużo, ale tylko niektóre są obrazem żywej i bujnej fantazji jej mieszkańców. Są to pokoje Chopina i George Sand. Inne, jak np. Solange i Maurycego są ciche i uległe, przykurzone patyną czasu, stojące niemocą w walce z silną indywidualnością matki.

Legenda Chopina i George Sand nie opuszcza tego miejsca do tej pory. Pobyt Chopina w Nohant i ekstrawagancka właścicielka majątku nobilitują mieszkańców okolicy. Czują się oni spadkobiercami ich geniuszu i dlatego z pokolenia na pokolenie pielęgnują tradycję tego miejsca oraz przechowują wspomnienia. Ma się więc wrażenie, że rozmawia się z osobami, które ich na prawdę znają. W małym antykwariacie ze starociami w pobliskim La Chatre zachwycałam się starą karafką. Wziąwszy ją do ręki usłyszałam od właściciela jej historię. Znaleziona została w parku pod oknem George Sand, wyrzucona w złości przez dziedziczkę po jakiejś burzliwej rozmowie z Chopinem. Na ile w tym jest prawdy, a na ile legenda została dorobiona na użytek własny, nie wiadomo. Nie mniej jednak ludzie z okolic przechowują w pamięci burze i namiętności tego związku.

Pierwsze lata Chopina w Nohant upływały w zgodzie i harmonii. Siła twórcza, swoboda, artystyczna atmosfera i ekstrawagancja George Sand bardzo imponowała Chopinowi. A przy tym znalazł długo poszukiwany azyl. Nohant stało się namiastką domu rodzinnego, za którym bardzo tęsknił. Poznawszy George Sand był zaręczony z Marią Wodzińską. Nieudane próby małżeńskie z Marią, której rodzice zerwali zaręczyny ze względu na słabe zdrowie Chopina, spowodowało załamanie duchowe, a niespełnienie marzenia o prawdziwym domu pogłębiły jego depresję. Związek z George Sand dawał mu równocześnie dom, inspirację artystyczną i spełnienie skrywanych, erotycznych marzeń. Pierwsze wakacje w Nohant w 1839 r. Chopin i George Sand spędzali głównie w sypialni, obitej niebieską tkaniną, w łóżku z koronkowym baldachimem, od czasu do czasu robiąc przerwy na konne wycieczki po okolicy. Odwiedzali pobliskie stare zamczyska, wspinali się pod górę by z wysokości podziwiać krajobraz.

Po konnych wycieczkach, zmęczeni znów zaszywali się sypialni pod baldachimem, a służba podawała im posiłek do pokoju. Wtedy ich apartamenty były ze sobą połączone. Z czasem jednak sytuacja się zmieniała. Zaczęły się pojawiać konflikty. Chopin i George Sand zimą spędzali w Paryżu. Do Nohant przyjeżdżali wiosną i mieszkali na wsi do jesieni. Pokój Chopina położony był na pierwszym piętrze z oknami od strony ogrodu. Z pokoju wchodzi się do salonu gościnnego z fortepianem. Pokój George Sand znajdował się nieopodal. Wzrok przyciągały sekretarzyk z mnóstwem skrytek, szufladek i szkatulek z sekretami zamykanymi na kluczyk oraz delikatna i kobieca toaletka z owalnym lustrem. Tylko pokój Chopina miał specjalne, wygłuszone okiennice i obite grubą tkaniną drzwi. George Sand pracowała głównie w nocy, w dzień natomiast spała. Chopin na odwrót. W nocy spał, a pracował w dzień. Mieszkańcy Nohant wspominali Fryderyka jako bardzo skomplikowaną naturę. Z pozoru łagodny, cichy, zamknięty w sobie i w świecie wyobraźni, nagle ulegał wybuchom złości i stawał się nerwowy. Wszystko mu przeszkadzało. Potrafił zamykać się w swoim pokoju, zasłaniać okiennice, nie wpuszczać promienia światła i tak siedzieć tygodniami. Chopin był przeświadczony, że daleko mu do geniuszu, a jako perfekcjonista starał się być najlepszy. Godzinami ślęczał nad nutami przy fortepianie, próbując zapisać swoje myśli. Często dostawał ataku szału, rzucał się na podłogę, krzyczał, darł nuty, walił z całą siłą w klawisze, twierdząc, że nic nie umie i nic nigdy nie skomponuje, że jest jeszcze jedną miernotą na tym świecie. Jego

niepewność siebie i ciągle nanoszenie poprawek było męczące dla wydawców, gdyż niejednemu zdarzyło się, że egzemplarz już wytrawiony na płycie musiał być zmieniany. George Sand twierdziła, że Chopin komponuje w porywie duszy, po czym siedzi miesiącami przy klawiaturze, skreśla i zmienia, by po mozolnej pracy wrócić do pierwszej wersji utworu. Dla domowników ataki szału Chopina były niezmiernie męczące, stąd jego pokój był odizolowaną twierdzą, z wygłuszonymi drzwiami i oknami.

Drogi artystów coraz bardziej się rozchodziły, podobno George Sand znalazła sobie nowego partnera, tymczasem jej dzieci pozbawione ojca i miłości ciągle zajętej sobą matki, dojrzewały. Maurycy próbował wzbudzić zainteresowanie, ale jego próby malarskie nie wywoływały większego entuzjazmu matki. Z poczuciem krzywdy, odrącony swoją nienawiścią do świata umiejscowił w Chopinie, który w jego oczach odebrał mu matkę. Inna relacja wytworzyła się między Chopinem i Solange. W ciągu siedmiu lat związku Chopina z George Sand, z 11-to letniej dziewczynki stała się 18-to letnią, dorosłą dziewczyną, która we Fryderyku umiejscowiła swoje młodzieńcze uczucia. Był dla niej królewiczem z bajki, po części też wypełniał pustkę po miłości rodziców, której nigdy nie miała. Chopin przyzwyczajony do małej biegającej po domostwie dziewczynki pewnego dnia ze zdumieniem odkrył w niej kobietę. George Sand ciągle nie było, ich związek chylił się ku końcowi, a tu, pod tym samym dachem rozkwitło młode i czyste uczucie. Nie wiadomo kiedy zakochali się w sobie. Pewnego dnia George Sand wróciła z Paryża zbyt wcześnie i zastała Chopina ze swoją córką. Poczuli się upokorzona, odrącona z bagażem swoich lat i wpadła w furję.

Pokój George Sand wyglądał tak, jakby zaraz miał ktoś do niego powrócić, pokój Chopina natomiast był ruiną, stratowaną przez burzę nienawiści i zazdrości. George Sand zemściła się okrutnie na obydwójgu. Chopina wyrzuciła z domu. Żeby zapomnieć o przeszłości i żeby nic go nie przypominało kazała zniszczyć pokój. Wszystkie sprzęty zostały spalone na dziedzińcu, zerwane zostały tapety, aż do tynku, oraz cała podłoga. Tylko wygłuszone okiennice i drzwi, pamiątka po godzinach pracy wielkiego Fryderyka, przypominają o dawnym mieszkańcu. Solange została wydana za mąż za grubiańskiego, wiele lat od niej starszego rzeźbiarza, Augusta Clesingera, który niegdyś był kochankiem matki. Dostała posiadłość w posagu i George Sand nigdy już jej chciała znać.

Tak mówią ludzie, źródła natomiast zdają się nie potwierdzać takiej wersji. Z zachowanych listów może wynikać, że Solange była już żoną Augusta Clesingera, kiedy popadła w konflikt z matką. Ponieważ Chopin wystąpił w roli mediatora i w 1847 r. napisał list do George w imieniu Solange, George wpadła w furję z powodu jego jawnego wstąpienia do „obozu wroga” i zerwała związek z kompozytorem. Zniszczyła jego listy i stwierdziła, że od dawna była nim zmęczona.

Na strunach uczuć



Pałac George Sand w Nohant

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Słynny romans epoki romantycznej, pełen napięć i zmian w temperaturze uczuć, burzliwy i namiętny. To on stał się tematem książki Mieczysława Tomaszewskiego Chopin i George Sand. Miłość nie od pierwszego wejrzenia. Podtytuł znajduje uzasadnienie już w pierwszym rozdziale Zdobywanie twierdzy, w którym pokazane zostały niełatwe początki znajomości dwóch artystycznych osobowości. Chopin właśnie przeżył rozczarowanie związane z Marią Wodzińską i nie w głowie były mu

romanse. George Sand miała wprawdzie przyjaciela - dziennikarza Féliciena Mallefille'a, ale związek ten nie był na tyle silny, aby nie pozwoliła sobie na uległość wobec fascynacji talentem i osobowością Fryderyka. Zdobywanie twierdzy to zdobywanie mężczyzny przez kobietę, co wówczas było zjawiskiem niecodziennym. Chopin nie narzucał jej się, jak inni mężczyźni, a wręcz wykazywał niezadowolenie z zalotów George Sand i to może najbardziej ją pociągało. „Poznałem wielką znakomitość, panią Sand - zwierzał się jesienią 1836 roku w liście do rodziców - ale twarz jej niesympatyczna, nie podobała mi się. Jest w niej coś odpychającego”. Jego przyjaciel Ferdynard Hiller wspominał, jak pewnego wieczoru Fryderyk zwierzał mu się: „Co za antypatyczna kobieta ta Sand! Czy to na pewno kobieta? Jestem skłonny w to wątpić. - Mówiono o niej - dodaje dalej Hiller - czarna jak kret i chuda jak gwóźdź”.

Historia romansu Chopina i George Sand w książce Mieczysława Tomaszewskiego zamyka się w czasie, który upłynął pomiędzy dwoma listami pisarki. Pierwszy z 1838 roku, zawierający, jak obliczono, 4 tysiące słów, skierowany był do hrabiego Wojciecha Grzymały, przyjaciela Chopina. Pisarka prosi w nim Grzymałę o pośrednictwo w sprawie uczuć i wpływ na Chopina. Drugi z 1847 roku, liczący aż 10 tysięcy słów, pisała przez tydzień do Emanuela Arago. Sand wylewa w nim swój żal, ból i bunt w stosunku do Chopina.

Postacie romantycznych bohaterów zostały pokazane równolegle, autor często cytuje opisy tych samych wydarzeń przez każdą ze stron. Dzięki takiemu zabiegowi widać wyraźnie różnice między postrzeganiem świata przez George i Fryderyka. Stopniowo czytelnik buduje więc w swojej wyobraźni świat, który ich otaczał, poznaje ich uczucia, doznania, potrzeby i odmienność charakterów.

Amantyna Lucylla Aurora Dupin baronowa Dudevant (tak nazywała się George Sand) pisała przeważnie do swoich przyjaciółek - Marii d'Agoult, w której to salonie poznała Chopina, aktorki Marii Dorval, Charlotty Marliani - żony konsula hiszpańskiego w Marsylii, Christiny Buloz - żony jej paryskiego wydawcy, Pauliny Viardot, a także do Wojciecha Grzymały. Jej listy są literackie, szczegółowe opisy tak przyrody, jak i emocji niezwykle barwne i plastyczne, jakby były częścią kolejnej powieści.

Chopin pisał do rodziców, siostry Ludwiki, przyjaciela „od wszystkiego”, na którego zawsze mógł liczyć - Juliana Fontany, potem do wiolonczelisty Augusta Franchomme'a, no i oczywiście do pośrednika w uczuciach między nim a George -

Wojciecha Grzymały. Jego listy są lakoniczne, ale świadczą o dużym poczuciu humoru. Np. w liście do Fontany z 1938 roku, pisany w Valldemossie, czytamy: „Między skałami a morzem opuszczony ogromny klasztor kartuzów, gdzie w jednej celi, ze drzwiami jak nigdy bramy w Paryżu nie było możesz sobie mnie wystawić nie ufryzowanego, bez białych rękawiczek, bladego jak zawsze”.

Odmienne widzenie zdarzeń widać m.in. na przykładzie relacji z mszy za duszę śpiewaka Adolpha Nourrita, który popełnił samobójstwo. Wiadomość ta dotarła do Chopina i George Sand, gdy wracając z Majorki zatrzymali się na trzy miesiące w Marsylii. Rodzina zmarłego poprosiła Chopina o zagranie na organach podczas mszy świętej.



Eugeniusz Delacroix, Fryderyk Chopin i George Sand

Chopin pisze w liście do Fontany z 25 kwietnia 1839 r.: „Wczoraj na organach Nuremu grałem... Możeś nie zrozumiał że grałem Nuremu. Jego ciało sprowadzili i jedzie to ciało do Paryża. Była msza żałobna i familia mnie prosiła żeby grać, więc grałem podczas Podniesienia”.

Natomiast George Sand zanotowała 26 kwietnia: „Nourrit miał tu bardzo skromne

uroczystości żałobne, biskup robił trudności. Nie wiem czy śpiewacy kościelni zrobili to umyślnie, ale nigdy nie słyszałam pieśni śpiewanych równie fałszywie. Chopin ofiarował się zagrać na organach podczas Podniesienia, ale jakie to były organy! Msza odbywała się w małym kościele Notre-Dame-du-Mont, instrument rozstrojony, krzykliwy, huczący przy każdym naciśnięciu miecha. Jednak nasz mały wydobył z niego co się dało. Wybrał rejestry najmniej ostre dla ucha i zagrał Gwiazdy [pieśń Schuberta z repertuaru śpiewaka, przyp. autora]. Zagrał nie w sposób podniosły i egzaltowany, jak robił to Nourrit, ale tonem łagodnej skargi, niczym dalekie echo z innego świata. Dwoje lub najwyżej troje spośród nas tam obecnych odczuło to żywo i nasze oczy zapełniły się łzami. Reszta audytorium, które napłynęło tłumnie i posunęło swoją ciekawość do płacenia po 50 centymów za krzesło była bardzo rozczarowana, spodziewano się bowiem, że Chopin wywoła hałas, od którego zadrzą mury i połamie co najmniej dwa lub trzy rejestry organowe”.

Dzięki korespondencji Chopina i George Sand oraz innym źródłom poznajemy historię uczucia, wloty i upadki, wyjazdy do Nohant, pobyty w Paryżu, choroby, odejścia, zranienia. Po kilku latach znajomości z George Sand Chopin pisał z nutą żalu do Fontany: „Temu kilka lat mi się śniło, ale nie wyśniło”.

Mieczysław Tomaszewski cytując listy nie tylko odsłania tajemnice uczuć między kochankami i ich zmienne nastroje, ale też analizuje, co jest bardzo cenne, jak związek tych dwóch niespokojnych i nieprzeciętnych osobowości wpływał na ich twórczość. Przypomina, jakie powieści w tym czasie napisała George Sand i ukazuje, jaki wpływ miały jej osobiste przeżycia i uczucia na kształtowanie historii bohaterów. O Chopinie pisze, że gdy poznał Aurorę Dupin, był u szczytu swoich możliwości. To dzięki warunkom, stworzonym mu przez starszą przyjaciółkę powstało tak wiele dojrzałych utworów, które weszły do kanonu muzyki.

Autor książki, profesor Akademii Muzycznej w Krakowie, muzykolog, wybitny znawca tematu korzysta z licznych źródeł, korespondencji, pamiętników, wspomnień. W 2009 roku wyszła biografia Chopina jego autorstwa (w trzech językach – polskim, angielskim, hiszpańskim). Historia burzliwej miłości Chopina i George Sand jest więc jedynie fragmentem przez wiele lat gromadzonej przez autora wiedzy. Książkę czyta się jak powieść biograficzną, mimo że jej tworzywem są wyłącznie źródła historyczne, analizowane z użyciem aparatu naukowego.

Recenzja był opublikowana w „Przeglądzie Polskim” – dodatku do „Nowego

Dziennika” w Nowym Jorku, 10 grudnia 2010 r.